

Był maj. W powietrzu dało się wyczuć delikatny zapach kwitnącego bzu, który w połączeniu ze śpiewem ptaków powodował uczucie wszechogarniającej bez troski. W takiej właśnie błogiej atmosferze dziewczęta z Żeńskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego udały się na swój coroczny wypoczynek do willi Zofia w Olsztynie. Była ona chlubą gimnazjum. Dzięki tym wyjazdom uczennice mogły spędzać ze sobą całe dni. Uprawiały sport, chodziły na spacer po okolicznych wzgórzach często zaglądając do jurajskich jaskiń, a nocą bawiły się w duchy. Tam właśnie zaczynały się też ich pierwsze romanse, co usiłowały utrzymać w jak największej tajemnicy. Niełatwe więc zadanie stało przed nauczycielami, tym bardziej, że czasem na wizytacje lubiła przyjeżdżać sama dyrektorka Zofia Idzikowska. Podobna sytuacja miała miejsce również tego roku. Profesorka Maria Różycka wraz ze swoimi podopiecznymi już od kilku dni wypoczywała w Olsztynie, kiedy dotarł do niej telegram, w którym dyrektorka zawiadamiała, że zamierza odwiedzić je jutro z samego rana. Różycka ucieszyła się. Kobiety bowiem łączyły dość bliskie relacje. Profesorka stawiała sobie Idzikowską na wzór. Była ona niezwykle wymagająca, ale i sprawiedliwa, czuła na problemy innych. Miała po prostu talent pedagogiczny.

Po popołudniowych aktywnościach uczennice tłumnie zgromadziły się na obiad. Roześmiane myślały tylko o tym, by nie narozlewać zupy. Wśród tego gwaru rozległ się narastający krzyk polonistki:

- Drogie panie! Proszę o chwilę spokoju! Jutro z samego rana odwiedzi nas pani dyrektor Idzikowska. Zostanie tu z nami cały dzień. Mam nadzieję, że dołożycie wszelkich starań, aby zaprezentować się przed nią z jak najlepszej strony. Wiecie dobrze, że przykłada ona dużą wagę do dobrego zachowania młodych dziewcząt. Mogę na was liczyć?

- Pewnie! - odpowiedziały zgodnie uczennice. Niezwykle ceniły Idzikowską. Dbała o każdą z nich. Widziała wszystkie łaty i łzy, wyczuwała gorączki, słyszała kaszel. Mimo że była surowa, to uczennice czuły się przy niej bezpiecznie.

- Obiecujecie, że położycie się dziś wcześniej spać, by rano być wypoczęte?

- Obiecujemy! - odparły jednogłośnie, lecz zarówno Różycka, jak i one same wiedziały, że dotrzymanie słowa może być trudne.

Kiedy na niebie lśnił już srebrzysty księżyc, uczennice zaczęły rozchodzić się po swych pokojach. Noc była piękna i ciepła. Dziewczęta przyobleczone w swe białe, zwiewne sukieneczki otworzyły okno na oścież i, oparłszy się o parapet, wsparły głowy na łokciach. Patrzyły na niezliczone gwiazdy, wsłuchiwały się w melodię świerszczy i było im tak błogo...

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponowała Irena.

- I co będziemy tam robić?

- Jak to co, Helena!? Pobawimy się w duchy, jak w pierwszą noc. Co wy na to?

- Tak! Idźmy! - agitowała Marysia.

- Jak zobaczy nas Różycka, to będziemy mieć problemy - tłumaczyła Helena usiłując odwieść przyjaciółki od tego pomysłu.

- A niech ją kule biją! Jadzia, Emilka, co z wami?

- Wiadomo, że idziemy, głupio się pytasz, Irena.

- Pójdę zawołać dziewczyny z innych pokoi. Zbiórka za dziesięć minut przy tych naszych kamieniach pod laskiem - informowała Marysia, zarzucając na siebie śnieżnobiałe prześcieradło. Koniec końców nawet te najbardziej niezdecydowane uczestniczyły w zabawie. Wszystko wokół spowite było mrokiem, idealnie współgrając z klimatem ich zabawy. Zaczęły chować się przed sobą

za drzewami i straszyć się wzajemnie. Widoczność była na tyle słaba, że o zbliżającym się „duchu” informował tylko trzask gałęzi. Zabawa ta bez reszty je pochłonęła. Nie miały nawet jak sprawdzić, która tak właściwie jest godzina. Z tego bezwzględnego skupienia wyrwała je Helena, która nagle zaczęła krzyczeć z nieskrywanym przerażeniem:

- Dziewczyny! Dziewczyny! Do pokoi! Koniec zabawy! Różycka przed chwilą wyglądała przez okno!

- Szlag! Na dodatek już się przejaśnia! Szybko, chodźcie do łóżek - poparła Emilia, za którą pobiegła reszta uczennic. Jedyne, o czym w tamtym momencie myślały, to jak najcichsze dotarcie do pokoi, a gdy to im się udało, wrzuciły prześcieradła do jednego kufra i otuliły się w pierzyny. Nieustannie towarzyszyła im obawa, że nauczycielka widziała je przez okno i nazajutrz, po konsultacji z dyrektorką, wyciągnie konsekwencje. Przez te parę godzin śniły więc tylko koszmary. O poranku nieśmiało zaczęły gromadzić się w jadalni. Mimo swego wyczerpania co chwilę wymieniali sobie znaczące spojrzenia i żartowały z wczorajszych figli.

- Widziałaś Irenę? - zapytała Marysia.

- Nie... Od rana jej nie widziałam. Może jeszcze śpi? - odparła Helena.

- Mam nadzieję, że nie zgubiła się gdzieś w lesie. Albo...

- Albo co?

- Wiesz przecież, ostatnio cały czas o tym mówi.

- Aa! Faktycznie! Nie powiedziała o tym dziewczynom?

- Nie. Powiedziała tylko nam i to w tajemnicy. Chodź, wymknijmy się do pokoju i sprawdźmy, co z nią - zaproponowała Marysia odchyliwszy swe krzesło.

- A wy gdzie?- dopytywała Jadzia.

- Zaraz przyjdziemy, spokojnie - wyszeptała Helena.

Trzymając się za ręce, dziewczyny wymknęły się ze śniadania. Przemierzając korytarze, wpadły na jakąś kobietę. Kobietę wysoką, potężnie zbudowaną, której oczy lekko przysłonięte były ciemnymi puklami włosów. Podniósłszy głowę od razu rozpoznały w niej Zofię Idzikowską.

- Dzień dobry! Bardzo przepraszamy za nieuwagę.

- Następnym razem bądźcie nieco bardziej ostrożne. Nie powinnyście być w jadalni?

- Wyszliśmy tylko do toalety.

- Wracajcie, więc szybko - poleciała dyrektorka, zmierzając do pozostałych uczennic.

Sprawy się skomplikowały. Ireny nigdzie nie było. Nigdzie. W żadnym z pokoi, w żadnej toalecie, po prostu nigdzie. Wiedziały, że jest jeszcze jedno miejsce, gdzie mogły ją znaleźć. Problem jednak stanowiło to, że gdyby znowu natknęły się na dyrektorkę, mogłoby nie pójść już tak łatwo. Minęło pół godziny, minęła godzina... Dziewczyn nie było, a ich koleżanki zaczęły się niepokoić. W międzyczasie i te zorientowały się, że w pokoju nie ma Ireny. Jeśli któraś z opiekunek zapytałby je, gdzie tamte się podziewają, nie miałyby pojęcia, co odpowiedzieć. Nie wiedziałyby nawet, czy mają je po prostu kryć, czy z troski podnieść larum. Pokoje były pięcioosobowe, a w jednym z nich zostały tylko dwie osoby. Na domiar złego dziewczyna z pokoju naprzeciwko dała im cynk, że Idzikowska odwiedza każdy pokój. Wiedziały, że przed nią niczego nie ukryją.

W istocie informacja o wizytacjach okazała się prawdziwa. Nie minęło wcale wiele czasu, jak w pokoju rozległo się pukanie do drzwi. Zaraz potem w progu stała już dyrektorka z pełnym serdeczności uśmiechem na twarzy.

- Same jesteście, dziewczęta?- zapytała kobieta. Pytanie to było dla nich jak urzeczywistnienie najgorszego koszmaru.

- Aktualnie koleżanek nie ma - odpowiedziała Emilka wymijająco.

- A z kim dzielicie pokój?

- Z Ireną Bronowską, Heleną Franke i Marią Keller.
- Ach! Kojarzę je. Jakiś tydzień przed wycieczką przeganiałam je ze strychu. Strasznie tam broiły. Gdzie one się podziewają?
- Właściwie to...
- Właściwie to nie wiemy - odparła energicznie Jadzia. Wypowiedziawszy te słowa poczuła, jak spada z niej ogromny ciężar. Bała się, że koleżanki uznają ją za donosicielkę, ale wiedziała, że robi to wyłącznie z troski. Wiedziała, że powinna tak postąpić.
- Jak to nie wiecie?
- Marysia z Helą wyszły podczas śniadania, mówiły, że do toalety, ale to chyba nieprawda. Znaczy się, nie wiem, czy to prawda. Nie ma ich już bardzo długo, już jakąś godzinę ich nie ma. A Irka? Irka to jeszcze lepiej! Nie jesteśmy pewne, czy ona w ogóle wróciła na noc do pokoju! Zaproponowała wczoraj zabawę w duchy! I po co? Teraz jej nigdzie nie ma! Na Boga, co z nimi?! Matko jedyna! Może one jej szukają i spadły z jakiejś skarpy! Po co żeśmy chodziły po tym lesie! Tylko, pani dyrektor, niech pani będzie łaskawa! Myśmy się tylko chciały pobawić! - tłumaczyła rozżalona Emilia.
- Spotkałam je w holu, też powiedziały, że idą tylko na moment. Zmartwiłyście mnie nieobecnością Ireny. W ogóle strasznie mnie zmartwiłyście. Nie sądziłam, że uczennice naszego gimnazjum mogą okazać się tak nieodpowiedzialne, by bez opieki nocą biegać po lesie. Idę porozmawiać z profesor Różycką. Jeśli któraś z nich przyjdzie, oczekuję, że niezwłocznie powiadomicie o tym albo mnie albo ją.
- Oczywiście. Tak zrobimy- odparła Jadwiga i niemalże od razu po jej słowach Marysia i Hela zamasyście otworzyły drzwi, nie spodziewając się, że wewnątrz zastaną dyrektorkę. Oslupiały. W pierwszej chwili nie mogły wydusić z siebie ani jednego słowa. Wiedziały, jak bardzo sobie nagrabiły. Jednakże czy zachowały się źle? Czy nie powinny były szukać koleżanki? Idzikowska mogła nie okazać się jednak na tyle wyrozumiała.
- Kogóż to moje oczy widzą? Siadać! Ale to już! Okłamałyście zarówno mnie jak i resztę koleżanek! Gdzie naprawdę byłyście?!
- Em... My...
- Do rzeczy!
- Szukałyśmy Ireny Bronowskiej - wydusiła z siebie Helena, nie odrywając ani na moment wzroku z podłogi.
- Gdzie jej szukałyście?!
- Na zewnątrz.
- Gdzie konkretnie?!
- W lasku obok willi - powiedziała szybko Marysia, starając się nie dopuścić nadgorliwej przyjaciółki do słowa. Wiedziała bowiem, że w tej kwestii nie mogą wyjawić wszystkiego, a Hela wypaplałaby prawdę jak na spowiedzi.
- Jak to się stało, że dopiero teraz zauważyłyście, że Ireny nie ma. Czemu nie zorientowałyście się już w nocy? Od razu po przyjsciu z lasu?
- Helena zaczęła krzyczeć, że pani profesor Różycka wyglądała przed chwilą przez okno. Przestraszyłyśmy się i zaczęłyśmy biec do pokoi. W nich już od razu rzuciłyśmy prześcieradła do kufra i poszłyśmy spać. Wszystko to działo się tak szybko, że nie patrzyłyśmy, czy każda dotarła.
- Rozumiem. Panienko Franke i panienko Keller, wiem, że nie powiedziałyście mi wszystkiego. Daję wam na to godzinę. W przeciwnym razie konsekwencje, jakie wobec was wyciągnę, będą poważniejsze niż wobec reszty koleżanek - rzuciła na odchodne dyrektorka. Świadomie zasiała w ich głowach rozmaite myśli, może i nawet wyrzuty sumienia. Od tylu lat pracowała z młodymi i

dobrze znała ich emocje, ich mimikę podczas kłamstwa i rozpaczy. Nie dało się przed nią niczego ukryć, więc dziewczęta mogły czuć się bezpiecznie. Teraz jednak jedna zaginęła. Nie najlepiej ją znała. Wiedziała tylko, że jest to jasnowłosa, zgrabna dziewczynka o piwnych oczach. Wiecznie miała pozdzierane kolana. Była bowiem niezwykle energiczna i uwielbiała sport. Nie należała ona też do grona najgrzeczniejszych dziewcząt.

Wbrew swym wcześniejszym zapewnieniom, Zofia Idzikowska nie poszła wcale porozmawiać z wychowawczynią dziewcząt. Również postanowiła przejść się po lesie. Szła i szła... Mijała kolejne drzewa i paprocie, mijała kolejne wrzosi i jeżyny. Przemierzyła tak cały las. Bez skutku. Nadzieję na jakikolwiek pożytek z tego spaceru przyniosło jej dopiero odnalezienie prześcieradła. Leżało ono przygniecione kilkoma kamieniami. Wyglądało to tak, jakby dziewczyna zostawiła je tam specjalnie. Zabezpieczyła je przed zdmuchnięciem przez wiatr. Kobieta ostrożnie odgarnęła z niego kamienie i zwinęła je, zabierając ze sobą. Las powoli się kończył. Drzew było coraz mniej, a z oddali dostrzec można było rzekę. Im bliżej niej się znajdowała, tym bardziej jej czółenka zapadały się w podmokłej trawie. Zdjęła je więc, by uczennice nie widziały jej w takim niechlujnym obuwiu. Nad rzeką nie było niestety nikogo prócz jakiegoś miejscowego wędkarza. Obok niego było pełno porozrzucanych butelek po wódce.

- Dzień dobry! Czy to pańskie? - zapytała wskazując na śmieci wokół niego.

- Nie, nie. Jak przyszedłem, to taki bałagan już tu był.

- Rozumiem, nie widział tu pan nikogo?

- Niestety nie. Kogo pani szuka, jeśli wolno spytać?

- Uczennicy.

- Mam nadzieję, że szybko się znajdzie. Jeśli będę coś widział, to dam znać.

- Byłabym rada. Wie pan może czyj to dom? Ten po drugiej stronie rzeki?

- Mój.

- Na pewno, nie widział pan nic wczorajszej nocy?

- Całą noc spałem jak zabity.

- Rozumiem... Chciałabym jeszcze o coś spytać. Nie lepiej byłoby panu łowić po drugiej stronie? Byłby pan niemalże pod własnym domem, a tak to fatygował się pan aż tutaj.

- Pani kochana! I tak całe życie na swojej posesji spędzę?

- Doprawdy nie do pomyslenia... W każdym razie, dziękuję za pomoc - zakończyła Idzikowska wracając do lasu.

Kiedy dotarła do willi, zgodnie ze swymi wcześniejszymi planami, postanowiła porozmawiać z Różycką. Spojrzawszy na twarze bawiących się w ogrodzie dziewcząt, doszła do wniosku, że wieść o zaginięciu Bronowskiej szybko się rozeszła. Strach jednak na żadnej z tych ślicznych twarzyczek nie był wypisany tak wyraźnie jak na twarzy Marii. Idzikowska domyślała się, że albo ją albo Helenę prędzej czy później sumienie zacznie dręczyć, więc to, że zastała dziewczynę płaczącą w pokoju Różyckiej, wcale jej nie dziwiło.

- Dzień dobry! - wycodziła uczennica ocierając łzy z policzków. - Ja... Ja przyszłam powiedzieć prawdę.

- Panienska Keller nie chciała mi nic wyjawić. Powiedziała, że musi zrobić to w obecności dyrektorki.

- Słusznie. Ochłoń proszę i powiedz, co wiesz.

- Bo... Widzicie panie, wcześniej, znaczy się, kiedy rozmawialiśmy w naszym pokoju, to my z Helą wcale nie kłamałyśmy. Nie powiedziałyśmy tylko wszystkiego. Jak przyjechałyśmy do Olsztyna, to Irena poznała takiego Janka, on mieszka obok lasku. Powiedziała o nim tylko mi i Marysi. Rano, kiedy nie znalazłyśmy jej w pokoju, od razu pomyślałyśmy, że może się z nim

spotkała, że po zabawie, zamiast iść do pokoju, poszła gdzieś z nim. Ruszyliśmy laskiem w stronę jego domu. W ogóle nie chciał z nami rozmawiać. Był strasznie niemiły i taki opryskliwy. Nie wiem, co Irka w nim widziała. W każdym razie Janek powiedział, że nie widział jej dzisiejszej nocy i że musi już iść, bo ma dużo roboty.

- Zaprowadź mnie do niego - odparła dyrektorka, poprawiwszy sobie kapelusz.

- Dobrze, dobrze, zaprowadzę.

- A pani niech może zorganizuje jakieś zajęcie dziewczętom, co by im jakieś głupoty do głowy nie strzeliły.

- Naturalnie - zaaprobowała poruszona polonistka.

Drogę spowiła dość niezręczna cisza. Keller wciąż się bała, że podpadła dyrektorce już na dobre. Ta zaś układała sobie w głowie scenariusz rozmowy z młodym Casanovą. Bardzo pewnie weszła na posesję państwa Lesiaków. Byli oni dość znani w okolicy. Pan Lesiak był bowiem lokalnym sołtysem, jego żona zmarła na szkarlatynę osiem lat temu. Rzadko bywał w domu, dzięki czemu jego trzech synowie mieli sporą swobodę.

- Widzi pani, pani dyrektor? Ten chłopak, który podcina gałązki w sadzie, to Janek - szepnęła uczennica. Wówczas ruszyły w jego stronę.

- Dzień dobry! Jestem dyrektorką szkoły, do której uczęszcza Irena Bronowska.

- Dzień dobry! Miło mi.

- Zobaczymy - rzuciła kobieta. - Doszły mnie słuchy, że utrzymujesz z nią dość bliskie relacje.

- Ja...

- No, tak czy nie.

- Kilka razy się spotkaliśmy.

- Dzisiejszej nocy też.

- Nie! - rzekł stanowczo chłopak.

- Doprawdy? Mnie się wydaje, że byliście wczoraj umówieni. Stwierdziła, że wymknie się niezauważona. Zaproponowała więc zabawę w duchy. Gdy dziewczęta pochłonięte były grą, ta zaczęła biec do ciebie nad rzekę. To było miejsce spotkania, prawda?

- Ja naprawdę nic nie wiem! Proszę mi wierzyć!

- Przykro mi, nie wierzę. Nad rzekę przyniosłeś parę butelek wódki. Dalej nie wiem, co się stało, ale nie wydaje mi się, że twój ojciec chciałby dowiedzieć się o tym incydencie. Po prostu się przyznaj.

- Em...

- Marysiu, wrócisz do willi? - Idzikowska skierowała pytanie do przerażonej uczennicy.

- Oczywiście! - bez wahania odpowiedziała Marysia.

- Teraz możesz powiedzieć, proszę bardzo.

- No... Ja, no, byłem tam z nią, ale nie piliśmy nic.

- Jesteś pewny?

- No, może trochę...

- Fantastycznie. Resztę opowiesz mi po drodze, idziemy sprzątnąć bałagan, który narobiliście. Ruchy, ruchy, drzewka poczekają. Co jeszcze robiliście?

- Rozmawialiśmy. W zasadzie tylko to. Wyszedłem stamtąd wcześniej, nie wiedziałem, że nie wróci do pokoju!

- Kto ci powiedział, że nie wróciła do pokoju?

- Hela z Marysią - były u mnie rano.

- Ach tak. Nie wiesz, gdzie może być, czy coś mogło jej się stać?

- Oby nic poważnego. Ona ma wiele głupich pomysłów, więc aktualnie może być wszędzie. Jejku! Faktycznie zostawiliśmy tu niezły śmietnik.

- A tak. Zabieraj to lepiej. Nie wiem, czy wiesz, ale nie toleruję tego typu występków.

- Czy ja mogę już iść? - zapytał nieśmiało Janek.

- Tak. Zejdź mi z oczu - odrzekła zbulwersowana Idzikowska. Kiedy została sama, na moment jeszcze zamknęła oczy, chcąc poukładać sobie w głowie myśli. Skutecznie jednak utrudniał jej to dobiegający z oddali dźwięk obijającego się o siebie szkła. Chłopak, mimo że nie obudził w niej ani krzty ufności, zasiał w niej ziarno wątpliwości. Bronowska w istocie była dość lekkomyślna, szalona i temperamentna. W tej chwili równie dobrze mogła być już w drodze do Częstochowy, jadąc na jakimkolwiek skradzionym rowerze, mogła też być w pociągu jadącym donikąd, mogła robić w zasadzie wszystko. Jeśli całe to zaginięcie dotyczyłoby kogoś opanowanego, zrównoważonego, wszystko byłoby prostsze, a tak? Tak nie wiadomo, gdzie w ogóle dziewczyny szukać. Podążając myślą, że Irenie nie stało się wcale nic złego, Idzikowska postanowiła popytać mieszkańców, czy czegoś nie widzieli, nie słyszeli. Wzięła ze sobą Różycką i rozdzieliły się, by szybciej sprawę załatwić. Pierwszym, od czego dyrektorka zaczęła swe poszukiwania, była stacja kolejowa. Nikt jednak Ireny tam nie widział. Następnie ruszyła do sklepiku, do zegarmistrza, do kowala, ale i tu nikt nie podzielił się z nią żadną istotną informacją. Zrezygnowana odwiedziła państwa Waszkiewicz. Stojąc w progu pytała:

- Dzień dobry! Nie widzieli może państwo dzisiejszej nocy tej dziewczyny? Proszę bardzo, to co prawda fotografia sprzed roku, ale niewiele się zmieniła.

- Powiem szczerze, że tej nocy wezwano mnie nagle do odebrania porodu u Kowalików, ale zdaje mi się, że nie mijalem nikogo na ulicy. Może pani wejdzie, posili się? Pewnie już długo chodzi pani po Olsztynie.

- Bardzo to miłe, ale dziękuję. Nie byłabym chyba teraz w stanie niczego przełknąć.

Następnie przeszła do domów położonych bliżej rzeki. Zapukała do państwa Landsbergów. Drzwi otworzyła jej trzydziestoletnia kobieta z niemowlęciem na rękach.

- Dzień dobry! Widziała pani może tej nocy tę oto dziewczynę? Taka chudziutka blondyneczka.

- Przykro mi, spałam całą noc.

- Doprawdy? Jest chyba pani pierwszą kobietą, której udaje się przespać całą noc, mając w domu noworodka. Gratuluję.

- Czy pani sobie żartuje?

- Skądże znowu, to pani sobie żartuje. Jest pani pewna, że nie widziała tej dziewczyny?

- Ja nic nie wiem, proszę stąd wyjść, bo zawiadomię policję.

- Zapewne... W zasadzie przydałaby mi się. No cóż, pójdę dalej, ale być może jeszcze do pani wrócę.

- Proszę sobie nie dworować! Do widzenia!- krzyknęła kobieta trzasnąwszy drzwiami. Naprzeciw Landsbergów stał dom wędkarza, którego niedawno spotkała. Jęła dobijać się do niego. Długo nie otwierał, zrezygnowana miała już nawet odejść myśląc, że ten dalej łowi. W końcu jednak uchylił drzwi i rzekł:

- O! To znowu pani. Niestety wciąż nie jestem w stanie pomóc.

- Hm... No cóż, będę musiała pytać dalej. A... czy mogłabym liczyć na herbatę? Chodzę po Olsztynie już dobre pół godziny i strasznie zaschło mi w gardle.

- Właśnie miałem wychodzić.

- Może jednak? Błagam pana, jestem strasznie wyczerpana.

- Dobrze, zapraszam, ale nie mamy wiele czasu - odparł niepokieszony mężczyzna, otwierając szerzej drzwi.

Jego dom był mały. Zewsząd wyłożony drewnem. Na środku stał masywny stół pamiętający zapewne dość zamierzchłe czasy. Zofia od razu zajęła przy nim miejsce i rozglądała się po pomieszczeniu. Przed nią były schody, naprzeciw których znajdował się piec kaflowy.

- Mieszka pan tu sam?

- Tak.

- To chyba niezbyt przyjemne.

- A pani niby co? Mieszka pani z mężem i gromadką dzieci?

- A czy widzi pan tu jakąś obrączkę - odpowiedziała roześmiana dyrektorka, wskazując na swą dłoń. - Mieszkam w szkole razem z moimi psami. O! Słyszę jakieś szmery, pan też ma psa?

- Tak.

- Wspaniale! Niech go pan zawoła, bardzo chcę go poznać!

- Obawiam się, że to niemożliwe. Jest strasznie schorowany.

- Biedny psiak. Co mu jest?

- Nie wiem dokładnie, coś z łapami.

- Kto by pomyślał! Jeszcze bardziej chce go poznać! Widzi pan, ja też mam chore nogi. Bardzo mnie boją, toteż chodzę niesłychanie wolno. Swoją drogą jest bardzo ruchliwy jak na swój stan zdrowia. Słyszy pan? W ogóle Zofia jestem! Zofia Idzikowska! - przedstawiła się dyrektorka.

- Marian Żarnecki, ale po cóż tak krzyczeć pani Zofio, spokojnie - upominał mężczyzna, starając się nie zabrzmieć nader surowo.

- Faktycznie, przepraszam. Mogę pójść zobaczyć tego psa? Bardzo cię proszę.

- Obawiam się, że to nie najlepszy pomysł. Już ta godzina! Już czas na mnie. Może jeszcze będzie okazja żebyście się poznali. Przepraszam najmocniej - mówił Marian, pospieszając kobietę. Ledwie przełknęła parę łyków herbaty, a już musiała wychodzić. Trudno, był zajęty. Opuszczając dom Żarneckiego, miała przeczucie, że nie był to jej ostatni raz w tym miejscu. W drodze powrotnej natrafiła na Różycką. Ona również nie zdobyła żadnych znaczących informacji. Przy bramie willi stała Marysia i Helena, które, dostrzegłszy nauczycielki z oddali, zaczęły biec w ich kierunku.

- Utopiła się!

- Dziecko drogie, co ty wygadujesz?!- pytała polonistka, będąc wyraźnie bliską omdlenia.

- Janek coś kręcił! Od początku coś kręcił! Zaczęli pływać. Wyszedł na chwilę na brzeg - tłumaczyła Marysia.

- Tak! Wyszedł! Nie powiedział po co! Z resztą to nie ma znaczenia! Irka zaczęła się wtedy topić! Powiedział, że nie był w stanie jej uratować.

- I że w ich stronę zbliżała się jakaś łódka. Nie widział dokładnie, kto w niej płynie.

- To dziwne, bo przecież było to w okolicach piątej, więc na zewnątrz nie jest aż tak ciemno.

- Heła, nie zapominaj o tym, że był pijany.

- Do rzeczy! - zażądała Różycka.

- Zobaczył tę łódkę i zwiął! Wystraszył się! Jak najgorszy cykor! Głupi tchórz! Nienawidzę go! Nienawidzę! - wykrzykiwała Keller.

- Uspokój się, proszę - rzekła Idzikowska, kładąc rękę na ramieniu dziewczyny. - Widział, czy osoba z łódki ją wyłowiała?- dopytywała.

- Nie.

- Wszystko zaczyna układać się w jedną całość. Jeżeli... Jeżeli została wyłowiona to... To ja wiem, gdzie jest. No przecież! Wiedziałam, że to nie może być pies!

- Słucham? - zapytała skonfundowana nauczycielka.

- Albo wiem, gdzie jest, albo... albo jest na dnie rzeki. Zaraz wrócę, być może z nią. Boże! Oby z nią...

- Nie będę potrzebna?

- Nie. Zajmij się dziewczętami. Pomoże mi policjant - odparła dyrektorka i, nie czekając na odpowiedź, tak szybko jak tylko stan zdrowia jej na to pozwalał, pognąła na komisariat. Tam usiłowała stłumić w sobie emocje i przedstawić stróżom prawa wszystko w jak najbardziej jasny, zrozumiały sposób. Jej starania przyniosły pożądaný efekt. Jeden z policjantów pojechał z nią pod wskazany adres. Z każdym kolejnym metrem serce biło jej coraz mocniej. Chodziło przecież o jej podopieczną. Mimo że sprawiała drobne problemy, to i tak kochała ją jak własną córkę. Mimo że była jedną spośród wielu dziewcząt, nigdy żadnej nie postrzegąa jako zaledwie jednej z wielu. Chciała chronić je przed niebezpieczeństwem, niepotrzebnym strachem, cierpieniem. Tym razem nie była w stanie zapobiec tragedii. Przez całą drogę słała do Boga ciche modlitwy, by udało się ją znaleźć. By udało się znaleźć ją żywą.

Dotarli na miejsce. Policjant pewnym krokiem podszedł do drzwi, Idzikowska zaś nogi miała jak z waty i musiała minąć chwila, aż ochłonęła i dołączyła do niego.

- Dzień dobry. Marian Żarnecki?

- Tak, a o co chodzi?

- Nie miałeś przypadkiem pilnie wyjść z domu? - wtrąciła nieufnie kobieta.

- Tak, tak, ale już wszystko załatwiłem.

- Doprawdy? To było zaledwie pół godziny temu.

- Wejźmy do środka - skostatował policjant, odchylając lekko drzwi. Mimo niechęci wymalowanej na twarzy wędkarza, zasiedli wokół stołu.

- Słyszał pan?! Jakies szkło się stłukło? Jak to wytłumaczysz?

- Proszę siadać! - wykrzyknął stróż prawa, odchylając mężczyźnie krzesło. Nie był on jednak skory do siadania. Idzikowska nieustannie twarz skierowaną miała w stronę schodów. Ilekroć patrzyła na nie patrzyła, marzyła, by wbiec po nich i zobaczyć, czy na górze nie ma Ireny. Umówiła się jednak z policjantem, że nie będzie robić nic bez jego zgody. Z czasem Żarnecki stawał się agresywny, zaczęli bić się z policjantem. Kobieta w pierwszej chwili nie wiedziała, co począć. Zobaczyła jednak, że powoli ze schodów schodzi Irena. Kamień spadł jej z serca, choć miała świadomość, że musi zapewnić dziewczynie bezpieczeństwo. Widziała strach wypisany w jej oczach. Na domiar złego Marian w bójkę z łatwością mógł zabrać rewolwer policjantowi. Niewiele myśląc, niczym matka walcząca o bezpieczeństwo własnego dziecka, chwyciła krzesło i z całej siły rzuciła je w głowę mężczyzny. Padł. Wnet po podłodze zaczęła sączyć się krew. Zofia wzięła dziewczynę za rękę i ruszyła z nią do pojazdu, którym tu przyjechali. Tuliła podopieczną do piersi. Starąa się dać jej wiele uśmiechu, ciepła, choć samej jej było ciężko. Opuściła dom wędkarza, nie wiedząc nawet, czy ten w ogóle żyje. Niewiedza była nie do zniesienia. Chcąc choć na chwilę o tym wszystkim zapomnieć, zapytała Irenę:

- Jak się wydostałaś?

- Gdy usłyszałam pani głos, to stłukłam szklanke, do której nalał mi wody. Jednym z kawałków szkła przecięłam linę, którą byłam związana.

- Jesteś bardzo dzielna. Chociaż wiesz, że nie powinnaś była wymykać się nocą.

- Wiem, wiem! Ja bardzo żałuję, proszę mi wierzyć.

- Wierzę - odparła Idzikowska, głaszcząc ją delikatnie po głowie. Po chwili zobaczyła wyłaniającego się z budynku policjanta. Każdy jego krok przybliżał ją do odpowiedzi. „Zabiłam czy może tylko uszkodziłam?”

- I... i jak?

- Żyje. Ledwo, ale żyje. Opatrzyłem mu tę ranę i policja z całą pewnością wyciągnie wobec niego konsekwencje.



- Chwała Panu! Dziękuję! Dziękuję bardzo!

Z tych makabrycznych wydarzeń dziewczęta wyniosły sporo lekcji. Oprócz tego, że niespieszno było im już tak wymykać się po nocach, uświadomiły sobie coś jeszcze. Coś, o czym od dawna wiedziały, ale nigdy nie doświadczyły tego tak wyraźnie. Oto bowiem ich dyrektorka, Zofia Idzikowska, była w stanie zrobić dla nich naprawdę wszystko. Każda z nich była dla niej wyjątkowa i piękna w swej niedoskonałości. Najważniejsze dla niej było ich bezpieczeństwo. Wtedy, podczas wyjazdu do willi w Olsztynie, dała temu dowód. Kochała ludzi, praktycznie wszystkich ludzi, ale uczennice zawsze miały szczególne miejsce w jej sercu.

Monika Stachurska